



Qwerty: Historia

Monika Szostek

Monika Szostek

Qwerty: Historia

Tom I

Copyright © 2015 Monica Szostek
All rights reserved.

ISBN-13: 978-1502323200

Dla Pati i Jamnika – za długie, wspólne, niedorośle,
wariackie godziny.

Rozdział 1

W domu państwa Gibble

*

-Qwerty, ty durniu! – wrzasnęła stojąca na środku kuchni kobieta. Na prawej dłoni miała wielką kuchenną rękawicę, w drugiej ręce trzymała rondel. Qwerty uchylił się instynktownie, obawiając się, że garnek za chwilę uderzy go w głowę. – Gdzie ty masz rozum?! Ach, zapomniałam, nie masz go przecież! Zejdź mi z oczu, ty mały szczurze!

Qwerty wyszedł co prędzej do ogrodu. Wiedział, że nie ma sensu się klócić. Wbił tylko paznokcie w dłoń i schował się za kępą kwitnących jałowców, gdzie nie przeszkadzało mu nic z wyjątkiem pszczoł, z których zresztą nic sobie nie robił. One także, zajęte swoją pracą, ignorowały chłopca siedzącego na trawie i z buntowniczą miną gryzącego pojedyncze źdźbło.

Złość narastała w nim coraz większa. Był w tym domu dopiero od dwóch tygodni i z każdym dniem czuł się tu coraz gorzej. Nikomu nie był potrzebny, za to każdemu przeszkadzał.

Dokładnie czternaście dni temu Qwerty stracił jedyną osobę, którą kiedykolwiek mógł nazywać członkiem swojej rodziny. Wuj Matt, który wychowywał go od niemowlęctwa, zmarł po długiej i ciężkiej chorobie i z małego dworku, ocienionego starymi drzewami, z małym różanym ogrodem z tyłu i starymi, wydeptanymi schodkami wiodącymi do niego, chłopiec musiał przenieść się do przyrodniej siostry wuja.

Nie podobało mu się tutaj. Jasne, ciche pokoje, umeblowane w starym stylu, zadbane i czyste, musiał zamienić na klockowaty, szary dom, w którym nie miał dla siebie miejsca. Ciotka i wuj – tak kazali mu siebie nazywać, chociaż on nie potrafił tak o nich myśleć; byli dla niego jedynie „państwem Gibble” – dali mu maleńki pokój o niebieskich ścianach. Qwerty natychmiast znieawidził ten kolor. Sypialnia była tak mała, że ledwo można było się tam ruszyć. Okna wychodziły na ogród i sąsiednie domy, łączyła się ona z każdej strony z pokojami dzieci wujostwa i Qwerty nie miał ani chwili spokoju, nie mówiąc już o jakiegokolwiek prywatności. O każdej porze dnia i nocy Dolores i Sebastian wchodzili do niego, żeby mu

dokuczać, a kiedy poprosił, by pani Gibble dała mu klucz do drzwi, odpowiedziano mu tylko:

-Co masz do ukrycia? Wstydzisz się czegoś? A może to jakaś nieczysta sprawa?

I chłopiec, chcąc nie chcąc, musiał się poddać. Jedynym, co w ten sposób zyskał, była nieufność ze strony gospodarzy i kpiny bliźniaków. Dolores wyglądałaby naprawdę słodko, z jasnymi loczkami wokół różowej buzi, gdyby nie jej podle spojrzenie, zdradzające paskudny charakter. Sebastian zaś, blondyn o wyblakłych, niebieskich, małych oczach, chytrze patrzących spod długiej grzywki, z kilkoma ledwo widocznymi piegami na śniadych policzkach, sprawiał wrażenie mieszanki lisa z komarem. Oboje byli ładni i obojgu na twarzach pojawiał się istic świński wyraz, kiedy komponowali obraźliwe dwuwiersze pod adresem Qwerty'ego.

Spokojne życie chłopca legło w gruzach. Nigdy nie miał wielu przyjaciół, ale lubił swoją dotychczasową szkołę, lubił długie godziny spędzane z wujkiem Mattem na czytaniu starych baśni, legend, wierszy; często też sięgali po sztuki teatralne i zaśmiewali się do rozpuku, parodiując głównych bohaterów. Kochał mały, różany ogród, przytulny, z wielkim słonecznym zegarem po środku, którego podstawę oplatał całoroczny, ciemnozielony bluszcz. Latem ten niewielki skrawek ziemi zamieniał się w pachnący różami ką, gdzie wystawiali dwa wiklinowe, bujane fotele i czytali w nich, rozmawiali albo milczeli po prostu, zajęci swoimi myślami. Czasem słuchali którejś z komercyjnych rozgłośni radiowych; nigdy jednak nie trwało to długo. Wujek Matt twierdził, że muzyka i drapieżne głosy spikerów denerwują go bardzo szybko.

Ich mały dworek, staroświecki i nieco przykurzony, zawalony był książkami, stojącymi równo na półkach ogromnych regałów lub porozrzucanymi na stołach, krzesłach, sofach, a nawet dywanach. Niewiele było tam oznak nowoczesności i kiedy człowiek przekraczał próg tego domu, zdawało mu się, że przenosi się w czasy wiktoriańskiej świetności. Był też telewizor, ale tylko dlatego, że Qwerty nalegał, by go mieli. Wujek Matt niechętnie zakupił niewielki odbiornik i ustawił go w najdalszym kącie kuchni, gdzie chłopiec przytargał sobie jeden z wysokich, miękkich foteli.

Qwerty nie nudził się tam nigdy – codziennie niemal odkrywał jakieś nowe schowki, w których znajdował czyjś list, tak stary, że atrament wyblakł na nim zupełnie, nie dając się odczytać,

piękny portret wyrysowany ołówkiem na pożółkłej kartce, schowany za ramą obrazu, to znów zakurzona, zgrana talię kart, z ręcznie malowanymi figurami.

Żył spokojnie i beztrąsko – do momentu, kiedy wuj Matt zachorował. Było to niespełna rok temu – okazało się, że jest chory na raka i nic nie jest w stanie mu pomóc. Przez pierwsze miesiące czuł się jednak dobrze, był czasem tylko bleśszy niż zwykle i jedna z szuflad w kuchni wypełniła się lekami. Ale z czasem było coraz gorzej: zmizerniał, nie ruszał się już z fotela, przy najmniejszym wysiłku gruby pot występował mu na czoło, dłonie drżały mu tak bardzo, że wypuszczał z nich książkę, którą czytał. Tylko jego oczy pozostawały wciąż błyszczące i pełne życia. Qwerty prowadził go po schodach, ocierał mu czoło miękką chusteczką z inicjałami M. S. – Matthew Seymore, podawał książkę czy gazetę, która z cichym szelestem lądowała na ziemi lub podłodze i próbował udawać, że wszystko jest w porządku, tak jak było. Ale w końcu nastał dzień, kiedy Qwerty nie mógł już udawać ani chwili dłużej – wuj Matt nie ruszał się z łóżka, w domu pojawiała się codziennie pielęgniarka, a wesołe głosy w starym dworku ucichły.

Niedługo przed śmiercią, wuj wyprosił z pokoju wszystkich, łącznie ze swoją siostrą i przygarnął do siebie Qwerty'ego. Powiedział:

-Qwerty, powinieneś wiedzieć o czymś, chłopcze... Zawsze kochałem cię jak własnego syna.

-Wiem, wujku, wiem – odparł na to Qwerty z łzami w oczach. – Nie mów tyle, bo widzę, że cię to męczy.

-O, teraz nie ma to już znaczenia, niedługo odpocznę... Posłuchaj, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia, coś, o czym nigdy mówić nie chciałem...

Qwerty zadrzał. Był tylko jeden temat, którego wuj nie chciał z nim poruszać: jego rodzice. Mimo, że chłopiec pytał o nich niejednokrotnie, wuj zawsze zbywał go milczeniem, zdawkowymi uwagami, albo po prostu zmieniał temat.

-Widzę, że wiesz, o co mi chodzi... I masz rację, chcę porozmawiać o twoich rodzicach. Wiem, że zrobiłem błąd nic ci o nich nie mówiąc, ale jestem... byłem człowiekiem o zbyt słabym sercu, by wyznać ci wszystko... Po prostu nie mogłem o tym mówić – wuj Matt mówił z trudem, jak gdyby znalezienie odpowiednich słów było dla niego ogromnym wysiłkiem. – Widziałem, że byłeś

szczęśliwy, choć nie byłem idealnym wychowawcą... Żyłeś w innych warunkach niż twoi rówieśnicy, a ja nie potrafiłem dać ci tego, co powinienem. Ku mojej uldze i zadowoleniu, byłeś z tym szczęśliwy. A jednak nie zrobiłem... Nie powiedziałem... Mniejsza z tym, teraz przestaje to mieć znaczenie, bo niczego nie naprawię... Posłuchaj, Qwerty, znasz niewielką skrytkę w mojej sypialni, prawda? Pokazałem ci ją kiedyś, ale nie pozwoliłem do niej zajrzeć.

Qwerty skinął głową.

-Zanim stąd odejdziesz... Wiesz, kiedy mnie już nie będzie...

Qwerty chciał krzyknąć, żeby zaprotestować, ale wujek Matt powstrzymał go, tak jak to zwykł robić wtedy, gdy chłopiec upierał się przy czymś, w czym na pewno nie miał racji.

-Nie, nie protestuj. Kiedy już mnie nie będzie, zamieszkas z moją przyrodnią siostrą i jej rodziną.

-Z państwem Gibble? – spytał z niedowierzaniem chłopiec.

Wujek skrzywił się nieznacznie na dźwięk tego nazwiska, które nawet teraz, kiedy był do cna wyczerpany, budziło w nim widać jakieś nieprzyjemne skojarzenia, ale opanował się i rzekł:

-Tak, z państwem Gibble. Zanim zabiorą cię do siebie, weźmiesz to, co ukryte jest w tej skrytce. To bardzo ważne, Qwerty: musisz wziąć to, co w niej jest.

-Przysięgam, wujku, że to zrobię – w głosie Qwerty'ego było tyle przekonania, że wuj Matt z zadowoleniem skinął głową.

-Dobrze. Dowiesz się... Ja już nie zdążę powiedzieć... To historia rodzinna... – w tym momencie do pokoju wszedł doktor i pani Adela Gibble.

-Powinien pan już skończyć tę rozmowę – rzekł do niego lekarz. – Jest pan przemęczony – i wysoka, koścista kobieta chwyciła Qwerty'ego za ramiona, bezceremonialnie wyprowadzając go stamtąd.

-W stronę słońca, Qwerty – krzyknął za nim wuj. – Idź zawsze w stronę słońca! – i drzwi zamknęły się za nim.

Wuj zmarł tej nocy, a następnego wieczoru pani Gibble i Qwerty mieli opuścić stary dworek i przenieść się do jej domu. Gdy już Adela przestała buszować w pokoju brata, Qwerty, który dotąd pakował swoje rzeczy, wśliznął się do środka. Dopiero teraz odczuł prawdziwą pustkę: równo zasłane łóżko ze staroświeckim, ciemnoczerwonym baldachimem, przeżartym w niektórych miejscach przez mole, ściany, z których pozejmowano teraz

portrety, by sprzedać je muzeum bądź prywatnym kolekcjonerom, okno bez zasłon, puste meble – to wszystko sprawiło, że gardło ścisnęło mu się z bólu, a w oczach poczuł piekące łzy. Podszedł do okna, wyjrzał przez nie szybko i, nasłuchując przez chwilę, czy aby z korytarza nie rozlegają się czyjeś kroki, wyjął z kieszeni scyzoryk. Podważył jedną z klepek parkietu, zdającą się przylegać do reszty tak samo jak wszystkie. Odskoczyła jednak i Qwerty ujrzał wsunięty w szczelinę pakunek, owinięty w starą szmatkę. Wyjął go i rozwinął. Okazało się, że trzyma w ręku książkę – niepozorną, oprawioną w skórę książeczkę. Otworzył ją; na pierwszej stronie dostrzegł wymalowane czarnym tuszem słońce – tarcza obejmowała pół strony, a wokół niej wypisane było kilka dziwnych liter, których nie mógł odczytać. Nic więcej nie zdążył wtedy zobaczyć, bo z korytarza dobiegły czyjeś kroki, doskonale słyszalne na pustym parkiecie. Szybko zakrył skrytkę i schował książkę pod szeroką bluzę.

-Co ty tu robisz? – szorstko zapytała ciotka. – Miałeś się pakować!

-Już, tak... Przyszedłem tylko zobaczyć ostatni raz...

-Och, nie czas teraz na sentymenty. Pospiesz się, bo nie chcę tu spędzać jeszcze jednej nocy.

Takim sposobem Qwerty, szybciej niż zdążył się zastanowić, dlaczego ciotka Adela tak bardzo nie chce nocować w tym miejscu, opuścił swój spokojny, staroświecki dom i, obrzucając ostatnim spojrzeniem przez tylną szybę samochodu zarówno dworek, jak i okolicę z malowniczym zamkiem górującym nad nią – opuścił małą wioskę Corfe Castle, w której spędził całe dotychczasowe życie.

*

Dom wujostwa nie znajdował daleko – zaledwie godzinę jazdy samochodem: najpierw przez wąskie, porośnięte z obu stron tunelem zwartych gałęzi uliczki, potem szersze drogi okolicznych miasteczek i wiosek. W końcu ciotka zatrzymała się przed szarym, kwadratowym budynkiem, którego Qwerty znienawidził od pierwszej chwili. U drzwi frontowych rozpościerał się równo przystrzyżony trawnik, na widok którego ogarnęły go złe przeczucia – słuszne, jak się okazało, bo w ciągu dwóch tygodni kazano mu przyciąć go już dwa razy; dalej był betonowy podjazd do garażu, a w kilku oknach paliły się białe, zniechęcające światła.

Ciotka wyprowadziła go z samochodu, trzymając za ramię jak niegrzeczne dziecko i weszli tylnymi, drewnianymi drzwiami, które znajdowały się za żelazną furteczką. Znaleźli się w sieni, gdzie państwo Gibble trzymali dwie świnki morskie, narzędzia, rozpuszczalniki, rowery i – w kącie – kupę krzywych desek. Trociny w klatkach zwierząt śmierdziały okropnie, do następnego dnia, kiedy Qwerty został dość nieuprzejmie poproszony o ich wymianę. Z prawej strony znajdowały się drzwi do kuchni. Ciotka nacisnęła klamkę – i znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, z każdej strony zastawionym meblami kuchennymi, gdzie panowała olśniewająca czystość.

Popchnęła go przed siebie i wkroczyli do rozległego salonu. Tutaj było zupełnie inaczej; zielona wykładzina na podłodze usiana była okruchami i psią sierścią. Na kominku nie palił się teraz ogień, ale pełno w nim było papierów i bliżej niezidentyfikowanych strzępków, a nakrycie na sofie było pozwijane.

Kiedy ciotka to zobaczyła, natychmiast, zapominając zupełnie o Qwertym, zaczęła krzyczeć na dwójkę dzieci, które siedziały wśród tego wszystkiego, drażniąc psa – niewielkiego pekińczyka o zmierzwionym teraz włosiu i przekrzywionej kokardce uwiązanej na głowie.

Dopiero gdy skończyła, przypomniała sobie o chłopcu i wypchnęła go na środek pokoju. Na sam dźwięk jego imienia Dolores zachichotała złośliwie, a Sebastian spojrział na niego, jakby Qwerty był robakiem. Skończyli niedawno czternaście lat – byli więc o rok od niego starsi, ale nie przydawało im to wcale rozsądku. Nagle usłyszał szelest odkładanej gazety i dopiero teraz, odwróciwszy się szybko na pięcie, ujrzał za sobą postawnego mężczyznę o blond włosach i rumianej, okrągłej twarzy, który, nie zauważając jakby całej sceny, sięgnął spokojnie po szklankę herbaty. -Kochanie, chciałabym przedstawić ci Qwerty'ego – zwróciła się do niego ciotka Adela, a na twarz wypłynął jej słodki uśmiech, który w ogóle do niej nie pasował.

-Ach, to ten młody człowiek, który ma odtąd z nami mieszkać, tak? – zapytał pan Gibble, patrząc na stojącego naprzeciw niego chłopca jeszcze gorzej niż zrobił to Sebastian. Sebastian przynajmniej uznał go za coś, co posiada mózg, natomiast jego ojciec patrzył na Qwerty'ego tak, jakby chłopak był wielką amebą, którą będzie musiał żywić.

-Podobny do twojego brata, Adelo – i to było wszystko. Wuj Gibble przeniósł pełne dezaprobaty spojrzenie na gazetę i zajął się studiowaniem cen domów, co chwila głośno przeklinając. Sam był handlarzem nieruchomości, w dodatku potrafił wyciągnąć ze swych klientów najwyższe pieniądze – szczególnie z tych, którzy sprowadzali się do Dorset z innych regionów, na przykład z Manchesteru.

Wuj nie mylił się jednak. Rzeczywiście, Qwerty był bardzo podobny do Matta: ciemne włosy, przystrzyżone równo nad uszami i brązowe oczy, tak ciemne, że niemal czarne upodabniały go do niego tak silnie, że można było wziąć chłopca za mniejszą, młodszą kopię pana Seymore’a. Był wysoki jak na swój wiek, wąskie usta zaciskały mu się w cienką linię, kiedy myślał nad czymś intensywnie, a w chwilach zdenerwowania, tak jak w momencie, gdy pierwszy raz stanął na środku salonu państwa Gibble, bezwiednie spletał dłonie. Czasami, kiedy unosił do góry grube, czarne brwi, nadające mu nieco ponury wygląd, czoło jego marszczyło się i wyglądał tak groźnie, że potrafił zbić z tropu niejednego. Normalnie w oczach miał wyraz łagodnego zamyślenia, podszytego lekką melancholią, a czoło produkowało jedną, niewielką zmarszczkę, świadczącą o zdolności myślenia, której na przykład Gibble’om brakowało zupełnie. Uśmiechał się rzadko, ale za to pięknym, miłym uśmiechem, który zmieniał go całkowicie. Znikał gdzieś łagodny smutek malujący się w jego oczach, czoło wygładzało się i nie było siły, by inni nie śmiali się razem z nim, tak zaraźliwy bywał ten uśmiech.

Teraz jednak Qwerty nie uśmiechał się. Nie uśmiechnął się chyba ani razu od dwóch tygodni. Wpatrywał się zmrużonymi oczami w krzak jałowca i było mu tak daleko od wesołości, jak to tylko możliwe.

Pomyślał o cichym i skromnym pogrzebie, jaki Gibble’owie urządzili wujkowi Mattowi – ciotka zabrała na niego i Qwerty’ego, który cały czas czuł się jak we śnie. Ceremonia skończyła się szybko, Matthew Seymore spoczął na małym cmentarzyku w Corfe Castle, a Qwerty, zdążywszy zamienić zaledwie kilka zdawkowych słów z panią Hopkins, sąsiadką i przyjaciółką Seymore’ów, zanim ciotka pociągnęła go do samochodu, wrócił z powrotem do Gibble’ów, gdzie musiał zamieszkać.

Ze względu na sprawy rodzinne i świetne oceny Qwerty bez żadnych większych problemów mógł opuścić Corfe Castle – ciotka po prostu wypisała go z tamtejszej szkoły nieco przed końcem roku szkolnego i od razu zapisała do nowej. Jako że do końca semestru zostało niewiele czasu, Qwerty nie musiał już jednak uczęszczać na zajęcia. On sam oddychał z ulgą na myśl, że nie musi chodzić do tej samej szkoły co Dolores i Sebastian (ciotka od przyszłego roku zapisała ich do prywatnej szkoły).

Perspektywa harówki w tym domu nie była jednak zbyt pociągająca. Chciał, by ten czas zleciał mu jak najszybciej, ale każdy dzień, będący pasmem upokorzeń i ciężkiej pracy, którą musiał wykonać, ciągnął się w nieskończoność. Co więcej, dzieci Gibble'ów upodobały sobie dręczenie Qwerty'ego. On zaś nie mógł oczekiwać wsparcia: żaden z mieszkańców domu, włączając w to psa i świnki morskie, nie okazywał mu nawet cienia sympatii. Sąsiedzi, którym ciotka Adela przedstawiła chłopca, przywitali się z nim chłodno i ledwo raczyli odpowiadać na jego grzeczne ukłony, a kiedy raz nie powiedział „dzień dobry” pani Knowleden, okropnej kobiecie, która ciągle wrzeszczała na swoich dwóch synów i nieszczęsną pomoc domową, ale była wielką przyjaciółką pani Gibble, tamta poskarżyła się ciotce Adeli i Qwerty przez pół dnia musiał czyścić trzy obszerne łazienki w piętrowym domu, w którym zamieszkał.

Za każdym razem, kiedy widział teraz sąsiadkę, uciekał, a witał się z nią tylko wtedy, gdy nie miał wyjścia. Zresztą, nie chciał też wychodzić na kogoś źle wychowanego. Już i tak państwo Gibble co krok robili mu uwagi na temat tego, w jaki sposób wychowywał go wujek Matt. Qwerty zaciskał wtedy pięści, ale gdy kilka razy próbował zaprotestować albo, na szczególnie złośliwe docinki, odciąć się jakoś, czekała go kara, na przykład grabienie liści w ogrodzie, zrobienie prania albo skoszenie trawnika, który i tak był idealnie równy.

-Czuję się jak Kopciuszek! – myślał w takich chwilach ze złością, polerując srebrne łyżeczki, które ciotka zabrała z jego własnego domu. Te łyżeczki doprowadzały go do szału i nieostroźnie zdradził się z tym. Teraz, ilekroć Adela Gibble chciała mu dopiec, kazała mu czyścić te łyżki, aż w końcu stały się tak czyste, że można było się w nich przeglądać.

Wspominając, jak wujek Matt sypał nimi do porcelanowych filiżanek cukier do herbaty (zawsze dwie płaskie łyżeczki), często miał łzy w oczach, które – jeśli bliźniaki je dostrzegły – stawały się nowym powodem do kpín i szyderstwa.

*Qwerty czuje wujcia smród
Gdy z łyżeczek ściera brud!*

albo:

*Wyczyść łyżki głupku jeden
Och, jest sześć, a było siedem! –*

śpiewali w takich razach, posuwając się nawet do przeszukiwania mu kieszeni, a Qwerty miał ochotę przyłożyć im w świńskie nosy. Powstrzymywał się jednak za każdym razem, jednak nie ze strachu przed karą czy odwetem, ale dlatego, że tłumaczył sobie, że oznaczałoby to zníženie się do ich poziomu – ta myśl dodawała mu sił; bardzo pilnował się, by pod żadnym względem nie zniżyć się do poziomu Gíbble’ów.

-Hej, ty! – nieuprzejmy okrzyk wyrwał Qwerty’ego z niewesołych rozmyślań. Tak jak przypuszczał – cudowna chwila samotności za jałowcem dobiegła końca. – Chodź tu! – wołał wuj Donald.

Jego Qwerty nie lubił nawet bardziej niż reszty, jeśli to w ogóle możliwe. Na początku wuj próbował rozmawiać z nim, przez kilka godzin z rzędu prawiąc mu morały, zatrzymując go w salonie czasem aż do północy, opowiadając o swojej służbie w marynarce i mówiąc mu o tym, jaki Qwerty jest naprawdę... „Niezdolny, niewychowany, zbyt marzycielski, mało inteligentny smarkacz, ale nie martw się, chłopcze, wyplenimy to z ciebie, w końcu to nie twoja wina, że byłeś wychowywany przez kogoś takiego jak Matthew Seymore...” W dodatku wuj ani razu nie zwrócił się do niego po imieniu. Faktycznie, imię Qwerty miał dziwne, był chyba jedyną osobą nazwaną tak właśnie, ale przywykł już do tego, a inni także szybko się przyzwyczajali. Wyglądało jednak na to, że wuj Gíbble jest tak daleki od uznania jego imienia, jak to tylko możliwe. Raz czy dwa wspomniał nawet coś o tym, że odpowiedniejsze byłoby dla niego jego drugie imię: Sean, którego Qwerty go nie cierpiał i nawet zwrócił się do niego w ten sposób kilkakrotnie.

Chłopiec nie zareagował, za co musiał umyć zlew, wyczyścić garaż i pozamiatać podjazd, chociaż był on całkowicie czysty.

Qwerty podniósł się ciężko i z westchnieniem ruszył w kierunku domu. Z ogrodu obok pani Knowleden obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

-Słucham – powiedział, stając przed wujem Donaldem.

-Co zrobiłeś? – zapytał groźnie wuj, łypiąc na niego wylupiastymi oczami. Przypominał rozzłoszczoną sowę, ale nawet rozzłoszczona sowa nie wyglądałaby tak głupio w pomiętej koszuli w niebieskie paski, na której widoczna była niewielka plama po ketchupie.

-Nic – powiedział na wszelki wypadek Qwerty.

-Nie kłam! – wrzasnął na niego Donald Gibble, potrząsając mu zaciśniętą pięścią przed nosem.

-Nie wiem, o co wujowi chodzi – powiedział Qwerty, starając się przybrać najbardziej naiwną minę, jaką tylko potrafił zrobić.

-Nie wiesz, o co mi chodzi? Nie wiesz, o co mi chodzi! To możliwe, bo czego można się spodziewać po kimś, kogo wychowywał Matthew Seymore! Dowiedz się więc, młody człowieku, że nie otwiera się nowego słoika dżemu, jeśli obok stoi już napoczęty!

-Miałem ochotę na truskawkowy, bo nie lubię...

-Milcz! Za karę skosisz trawnik.

-Zrobiłem to wczoraj – Qwerty’emu udało się zachować spokój, który tylko rozdrażnił wuja jeszcze bardziej.

-Więc posprzątasz garaż!

-Robiłem to dwa dni temu...

-Nie szkodzi, zrobisz to jeszcze raz – powiedział wuj Donald, mściwie mrużąc oczy. – Potem umyjesz parkan, pozamiatasz ulicę przed naszym domem i – wuj spojrzał z odrazą na klatki świnek – wyczyścisz to paskudztwo. Ruszaj się!

Qwerty podwinął rękawy i z rezygnacją poszedł do swoich obowiązków. Skończył porządkować garaż (nie zajęło mu to dużo czasu, bo ostatnio zrobił to porządnie; musiał jedynie poukładać rozrzucone przez wuja Donalda narzędzia i zamieść podłogę, upstrzoną resztkami jedzenia oraz wytrzeć smar) i zabrał się za parkan. I z tym uwinął się szybko, ale najgorsze dopiero go czekało: musiał wyjść na ulicę i na oczach sąsiadów posprzątać ją; ciotka Adela zostawiła mu w tym celu wielką, komiczną miotłę, która teraz stała oparta o parkan jak szydząca z niego wiedźma. Pomyślał, że ciotka Adela i pani Knowleden mogłyby na niej latać na zmianę.

Śmieszność była tym, czego bał się najbardziej, a teraz miał narażać się na nią przed połową osiedla.

Wziął jednak ohydny miotłę i wyszedł przed dom. Chociaż był tu krótko, wiedział już, że nie ma wyboru. Lipcowe słońce dawało się we znaki i pot spływał mu po twarzy. W oknie szarego domu zobaczył roześmiane twarze Dolores i Sebastiana, wykrzywione w złośliwym, szyderczym grymasie. Wyglądały groteskowo, jak lalki w teatrzyku. Qwerty zacisnął zęby i chwycił kij, wymachując nim zawzięcie, chcąc jak najszybciej skończyć pracę. Ludzie wracający z pracy z zaciekawieniem obserwowali dwunastoletniego chłopca, który, spuściwszy nisko głowę, z czerwonym rumieńcem na policzkach, wywijał wielką miotłą. Niektórzy wyglądali na rozbawionych, inni na oburzonych nowymi wygłupami dzisiejszej młodzieży.

Qwerty, starając się za wszelką cenę nie zwracać na to uwagi, przez cały czas zastanawiał się, dlaczego państwo Gible byli dzisiaj tacy wściekli – nawet oni, chociaż okropni, nie czepiali się bez powodu do otwartych słoików z dżemem. Musiało coś się stać...

Nadchodził już ciepły wieczór, kiedy Qwerty skończył porządkować klatki dla świnek. Sam śmierdział teraz nie gorzej niż one i jedynym, o czym marzył, był długi, zimny prysznic. Pobiegł szybko do swojej klatki, wyciągnął z szafki czystą koszulkę i spodnie i natknął się w drzwiach na Dolores, która zatkała sobie nos.

-Jak się umyjesz, przyjdź na kolację, darmozjadzie. Pospiesz się, nie będziemy na ciebie czekać – i wybiegła, skacząc po dwa schody w dół.

Qwerty wypowiedział cicho życzenie, ale nic się nie stało i Dolores cała i zdrowa wylądowała na dole, biegnąc do jadalni.

Udał się więc z rezygnacją do łazienki, odkręcił wodę i z przyjemnością puścił sobie zimny strumień prosto w twarz. Nie pomogło. Nadal trząśł się ze zdenerwowania.

Po paru minutach wyszedł z łazienki, ale ciągle pocił się – tym razem oblewał go zimny pot na myśl o rychłym spotkaniu z państwem Gible i dwójką ich okropnych dzieci, które teraz wymyślają pewnie nowe tortury specjalnie dla niego. Zaplatając ręce tak mocno, że aż pobiełały mu kostki, powoli zszedł na dół, starając się stąpać jak najciszej. Nie od razu wszedł do jadalni, ale zatrzymał się na chwilę, schowany za futryną, bo usłyszał, jak jego wuj mówi właśnie:

-To niesprawiedliwe, Adelo, ten skończony kretyn nie zostawił nam teraz prawie nic! Wszystko zapisał temu małemu smarkaczowi!

-Uspokój się, Donaldzie, bo zaszkodziś sobie na żołądek – mitygowała go ciotka.

-Jak mam się uspokoić, skoro nie dość, że nie dostaniemy tego, co się nam należy, póki nie osiągnie pełnoletności, to jeszcze on sam będzie mógł tknąć swoje miliony dopiero, kiedy skończy osiemnaście lat! Do tego czasu nic nam nie odda! Nie po to haruję całymi dniami, żeby utrzymywać darmozjada.

Ciotka westchnęła tylko, nic już nie mówiąc, a Qwerty wbił paznokcie w dłoń, starając się zapanować nad emocjami. Gible'owie zagarnęli wszystko, co należało do niego i wujka Matta: sprzedali wszystkie meble, obrazy, antyki, a na końcu dom. Qwerty słyszał, jak rozmawiali o tym parę dni temu – sprzedali dwór miejscowemu szpitalowi (oczywiście za wygórowaną cenę, bo sprzedają zajmował się wuj Donald) i teraz urządzano tam oddział chorób płuc.

Dopiero po chwili dotarła do niego cała treść słów... Miliony? Qwerty'emu przeszedł po plecach dreszcz, jakby znowu znalazł się pod lodowatym prysznicem. Nie mógł uwierzyć, żeby wujek Matt mógł zapisać mu w testamencie miliony funtów; nie miał tyle. To prawda, że nigdy nie narzekali na brak pieniędzy, a wuj Matt nie pracował, ale...

-Co on tam tak długo robi?! – wrzasnął wuj Donald. – Zaraz tam po niego pójde i pokaże mu... - Qwerty usłyszał dźwięk odsuwanej krzesła i zorientował się, że Gible podnosi się, by spełnić swoją obietnicę. Szybko wyszedł zza futryny, udając, że niczego nie słyszał. Podszedł w milczeniu do stołu i usiadł. Tamci prawie skończyli jeść; jak widać nie czekali na niego. Drżącą ręką sięgnął po tosta, a wuj Donald patrzył na tę kromkę jak sęp. Udając, że tego nie dostrzega, Qwerty sięgnął po masło i posmarował nim chleb. Teraz obserwowała go już cała rodzina, ale uparcie starał się tego nie dostrzegać. Najspokojniej w świecie ugryzł kęs i zaczął przeżuwać go powoli, popijając herbatą, której o mało nie wylał na stół – był tak zdenerwowany, że ledwo mógł utrzymać kubek.

Pierwsza otrząsnęła się Dolores. Wzięła do ręki resztkę swojej kanapki i demonstracyjnie odeszła od stołu. Za jej przykładem poszedł Sebastian, wpychając sobie do ust połowę tosta z czekoladą, która została jeszcze na jego talerzu i, nie raczywszy

powiedzieć nawet słowa „Dziękuję”, poszedł za siostrą. Nie minęła chwila, kiedy ciotka i kipiący wściekłością wuj Donald wstali także – Qwerty został przy stole sam, a kęs chleba utkwiał mu w przełyku. Ciotka Adela sprzątnęła z blatu jedzenie i okruchy, nie zostawiając tam nic z wyjątkiem szklanki i talerza, których używał Qwerty. Z całych sił panując nad sobą, skończył kanapkę, która smakowała teraz jak drewno i dopił herbatę. Żołądek skurczył mu się do rozmiarów włoskiego orzecha, więc sporo wysiłku kosztowało go utrzymanie w nim tego, co właśnie połknął. Zaniósł naczynia do kuchni i umył, stawiając na suszarce. Nikt nie raczył się nim zainteresować, ani nawet odezwać choćby słowem. Qwerty nabral ochoty, by wyjść na dwór, ale zawahał się, bo przyszło mu do głowy, że zamkną mu drzwi przed nosem i będzie musiał spędzić noc na zewnątrz. Mimo to skierował się do wyjścia, uprzednio zdejmując jeszcze z haczyka swoją bluzę, którą powiesił tam rano. Wszystko będzie lepsze niż przebywanie z tymi okropnymi, bezdusznymi potworami pod jednym dachem, pomyślał.

Wyszedł na ulicę i owionęło go miłe, wieczorne powietrze, przynosząc ulgę rozpalonej twarzy. Nie wiedział dokąd idzie – nie znał miasteczka, bo prawie nie wychodził z domu, przez dwa tygodnie bez przerwy coś szorując, zamiatając albo polerując i wysłuchując przy tym coraz to nowych docinków. Czuł, jakby ze spokojnego, miłego domu wpadł w piekielny kocioł pełen Gibble’ów. Po raz pierwszy od dwóch tygodni odważył się otrząsnąć na chwilę z otępienia, w jakie wpadł w momencie, kiedy ciotka Adela wprowadziła go do swojego domu. Aż wystraszył się swoich emocji – łzy popłynęły mu po policzkach tak obficie, że nie zdążył ich powstrzymać. Natychmiast skrzył w ciemną alejkę, żeby nikt nie dostrzegł przypadkiem, że płacze. Razem z tymi łzami wylewał z siebie żal, tęsknotę i wstyd. Zaczął ogarniać go strach na myśl o tym, jakie czeka go życie. Jeśli to o spadku jest prawdą (a nastrój wuja Donalda na to wskazywał), nie musi martwić się o swoją dalszą przyszłość... O ile dożyje do czasu ukończenia osiemnastu lat. To jeszcze ponad pięć lat! Urodziny ma w listopadzie i w tym roku skończy trzynaście lat. Nie wyobrażał sobie mieszkania z Gibble’ami przez ten czas, a co dopiero przez pięć lat... Przypomniał sobie słowa Gibble’a: „nie dostaniemy tego, co się nam należy, póki on nie osiągnie pełnoletności...” Qwerty zrozumiał, że wujek Matt zapisał im jakąś sumę w zamian za opiekę nad Qwertym,

chcąc zapewnić mu pobyt w tym domu, ale była to pierwsza rzecz, za którą nie potrafił być wdzięczny swemu dotychczasowemu opiekunowi. Przeciwnie, wolałby już trafić do rodziny zastępczej – gdziekolwiek, byleby nie wylądować tutaj.

-Dlaczego?... – wyrwało mu się ciche, bezsilne pytanie.

-No cóż... Pewnie maczało w tym palce Przeznaczenie, jak zwykle – odpowiedział mu pogodnie jakiś głos.

Qwerty rozejrzał się z niepokojem, ale nie dostrzegł nikogo. Ulica, na której znajdowały się zaledwie dwie latarnie – na początku i końcu – pogrążona była w mroku. W okolicznych domach paliły się światła; przez szpary w zasłonach widać było siedzących przed telewizorami ludzi, opychających się hamburgerami, pizzą albo frytkami (albo wszystkim naraz, z dużą ilością ketchupu). Na dworze nie było jednak nikogo, Qwerty dokładnie przyjrzał się każdej kępie krzaków i wykluczonym było, by przeoczył cokolwiek.

-Jest tu kto? – zapytał na wszelki wypadek, ale nie otrzymał już żadnej odpowiedzi i z ponurą miną oraz ściągniętymi brwiami, przekonany, że mu się przestyszało, poszedł dalej. Gdy dotarł do końca uliczki, okazało się, że jest ona ślepa – było tylko wąskie przejście z barierkami, za którymi kamienne schodki biegly w dół. Tam ujrzał jeszcze jedną ulicę, a po przeciwnej stronie plac zabaw, teraz już prawie pusty.

Qwerty pragnął uniknąć teraz wszelkiego towarzystwa, więc zszedł na dół i skierował się w lewo. Wkrótce dostrzegł szkołę, ogrodzoną siatką i przeczytał napis: Corfe Hills Schools & College. To była szkoła, do której miał zacząć chodzić po wakacjach... o ile przeżyje wakacje, oczywiście. Poszedł dalej i natrafił na skrzyżowanie – wybrał drogę w lewo. Wiedział, że jeśli pójdzie tędy, okrąży osiedle i znajdzie się z powrotem w domu Gibble'ów.

Dotarł do podnóża pagórka, na który musiał się wspiąć i minął kolejne barierki. Droga prowadziła w górę, zarośnięta była krzakami, których gałęzie miały kolce i Qwerty pozadierał bluzę, zanim dotarł na górę. W końcu jednak wynurzył się na zakręcie ulicy; stąd dzieliło go już zaledwie kilkadziesiąt metrów od celu. Teraz zatrzymał się i cofnął w cień, jaki dawały krzewy, oparł łokcie o drewnianą barierkę i pogrążył się w niewesołych rozmyśleniach. Łzy na policzkach już mu obeschły, ale oczy piekły nadal. Głowa rozboleła go od nawału myśli, kark zeszywniał, szyją zaczęły targać skurcze. Qwerty po raz pierwszy w ciągu swojego krótkiego życia

zaprzagnął umrzeć – po prostu nie mógł uwierzyć, że jeszcze kiedyś będzie szczęśliwy. Spróbował się pocieszyć myślą o fortunie, która kiedyś miała przypaść mu w udziale. Nie pomagało. Póki co jest biedny jak mysz kościelna i nie ma nic... ani nikogo. To ostatnie zapiekło tak mocno, że znowu nie zapanował nad sobą i lży nabiegły mu do oczu. Nie ma na tym świecie nikogo, kto by go kochał, komu by na nim zależało, nie ma do kogo się zwrócić...

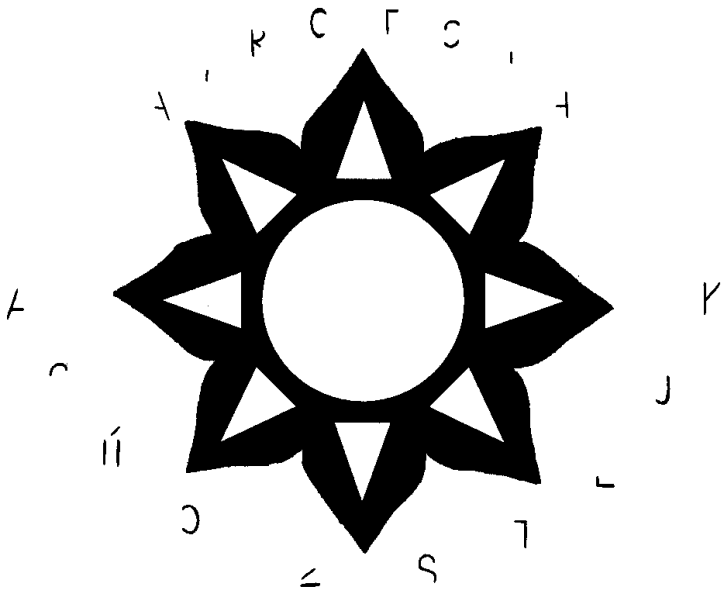
-Zamiast się nad sobą uzalać, weź się wreszcie w garść, dobra? – odezwał się ten sam głos, który usłyszał już wcześniej. Qwerty, tym razem już wystraszony, rozejrzał się z niepokojem, ale znowu nie dostrzegł nikogo. Tylko lekki wiatr poruszał gałęzie, które leniwie machały do niego, obojętne na wszystko.

Otarł rozciągniętym rękawem twarz i wyszedł szybko na oświetloną ulicę. Wolnym krokiem, próbując się uspokoić, ruszył w kierunku domu. Tajemniczy głos oddał mu pewną przysługę: zaprzętną na chwilę jego myśli, oddalając smutek.

*

Niezauważony wszedł do środka frontowymi drzwiami, które były otwarte – jak zawsze, gdy wuj Donald grzebał przy swoim nowym samochodzie, który kupił zaledwie kilka dni temu – i pobiegł na górę, przeskakując najciszej jak potrafił po dwa stopnie.

Pilnując, by drzwi od jego sypialni nie zazgrzytały, zamknął je cicho i rzucił się po ciemku na łóżko, ale nie potrafił myśleć spokojnie. Był zbyt roztrzęsiony traktowaniem Gibble'ów, samotnością i głosem dochodzącym nie wiadomo skąd. Leżąc tak i słuchając dudnienia telewizora na dole (Dolores, Sebastian i ich matka oglądali właśnie program o tym, jak pięcioosobowa rodzina spędzała wakacje mocząc się w hotelowym basenie w Tunezji), z każdą chwilą robiło mu się coraz bardziej niedobrze. Nagle przypomniało mu się coś. Wstał po cichu i sięgnął ręką na dno swojej torby ze szpargałami. Grzebał tam przez chwilę nerwowo, aż znalazł to, czego szukał: małą książeczkę oprawioną w skórę. Otworzył ją znowu na pierwszej stronie i w świetle latarni zza okna dostrzegł wyrysowane tam słońce, a wokół niego owe dziwne litery, których znaczenia nie znał.



Wpatrywał się przez chwilę w obrazek, a w uszach zadźwięczały mu ostatnie słowa Matthew Seymore'a: „W stronę słońca, Qwerty. Idź zawsze w stronę słońca”. Nie wątpił ani przez chwilę, że był to szyfr i dotyczył właśnie tej książki, ale nie miał pojęcia, co oznaczał. Bezmyślnie zagapił się w rysunek, aż przed oczami pojawiły mu się ciemne plamki; dopiero wtedy przewrócił stronę i odczytał drżącym szeptem duże nagłówki:

David i Eveline Seymore *„Historia”*

Serce zabiło mu mocniej. Nie znał nawet imion swoich rodziców – jego wuj posunął się tak dalece w unikaniu tego tematu, że nie wyjawiał ich nigdy. Obrócił następną stronę, ale była zapisana niezrozumiałymi znakami, takimi samymi, jak te przy słońcu na początku. Przekartkował książkę i okazało się, że cała napisana jest

tym nieznanym alfabetem. Zawiedziony, przeczytał tylko jedno słowo, zamykające ostatnią stronę:

KONIEC

Przejrzał wszystko jeszcze raz, ale nie znalazł nic, co potrafiłby zrozumieć. Zaklął pod nosem, bo usłyszał szybkie kroki na górę. Wsunął szybko książkę pod poduszkę i położył się na łóżku, przodem do ściany. Program najwidoczniej skończył się i był pewien, że bliźniaki przyjdą do niego, by go dręczyć. Miał nadzieję, że jeśli przekonają się, że śpi, ograniczą się tylko do uklucia go szpilką albo wywalenia zawartości jego szuflady na podłogę.

Nie mylił się. Drzwi otworzyły się powoli i stanął w nich Sebastian, zza ramienia którego wystawał czubek głowy niższej od niego Dolores.

-Hej, darmozjadzie, śpisz? – zapytał Sebastian, a pytaniu temu towarzyszył złośliwy chichot jego siostry.

Qwerty nie odpowiedział. Zacisnął tylko pięści, w myślach powtarzając: „Idźcie sobie, idźcie sobie, idźcie sobie...”. Bliźnięta uznały zapewne, że „darmozjad” śpi, bo śmiało wsunęły się do pokoju. Był tak mały, że we dwójkę tworzyli tu tłok i trudno im było się tu poruszać. Sebastian odepchnął Dolores na próg i otworzył drewniane drzwi szafy, znajdującej się we wnęce równie dużej, co cały pokój. Qwerty słyszał, jak wyciąga coś ciężkiego i po kolei wyrzuca to na podłogę. Gdy usłyszał brzęk tłuczonego szkła, zorientował się, że Sebastian dopadł jego torby z pamiątkami i pogratulował sobie w duchu, że w porę przypomniał sobie o książce, która znalazł w skrytce wujka Matta. Zacisnął na niej palce, starając się oddychać miarowo, nie dbając o nic innego z wyjątkiem tego małego, oprawionego w skórę woluminu.

-Dobra, wystarczy – uznała po chwili Dolores. – Obudźmy go teraz, niech posprząta – dodała ze złośliwym uśmiechem.

Sebastian podszedł do Qwerty'ego i szarpnął go za ramię. Qwerty nie wytrzymał i zerwał się z łóżka z taką miną, że Sebastian cofnął się o krok, nadeptując na ramkę ze zdjęciem Matta i tłukąc szybkę.

-Mała niespodzianka – wyjąkał, bo wszystkie pomysły na złośliwe docinki jakoś mu teraz uciekły.

-Właśnie widzę – wysyczał Qwerty takim tonem, że tamci wyszli czym prędzej. Zza drzwi dobiegły go różne nieprzychylnie uwagi na temat dziwaków, ale nie przejął się tym teraz. Upewnił się, że kroki oddalają się od jego klitki i zapalił lampkę, uprzednio zestawivszy ją z nocnej szafki. Szafkę przysunął do drzwi w taki sposób, by opóźniła nieco wejście kogokolwiek i podniósł z podłogi rozbitą ramkę, patrząc na uśmiechniętą twarz wuja. Zaraz poczuł pod powiekami gorące łzy, więc szybko wrzucił zdjęcie z powrotem do torby, resztę rzeczy zgarnął byle jak do środka, zasłonił dokładnie zasłony i usiadł przy łóżku, od nowa wertując książkę w świetle lampy. Nie znalazł tu niczego, co przybliżyłoby go choć o krok do rozwiązania zagadki i odczytania nieznanych mu liter. Nie przypominało to żadnego alfabetu, jaki znał, nigdy nie widział niczego podobnego. Westchnąwszy ciężko schował książkę pod poduszką, bo to miejsce wydało mu się teraz najbezpieczniejsze, przykrył ją dodatkowo prześcieradłem i przebrał się w koszulkę, w której zwykle sypiał. Nagle poczuł się tak zmęczony, jak chyba nigdy dotąd, więc przysunął szafkę tam gdzie stała przedtem (choć chętnie zostawiłby ją na nowym miejscu) i położył się, przykrywając pod brodę cieką kołdrą i kładąc rękę na okładce, od której dzieliła jego dłoń zaledwie cienka warstwa prześcieradła.

Dowiedziałem się już tyle dziwnych rzeczy tego wieczoru – pomyślał – że bez znaczenia będzie czy podniosę tę szklankę czy nie... Czuł się głupio, gapiąc się w naczynie, ale skoncentrował się i powtórzył w myślach „Chcę to podnieść”. Wpatrywał się w szkło kilka sekund i, ku jego zdziwieniu, szklanka zadrziała i przesunęła się o centymetr.

-Rety... - wyszeptał cicho, zszokowany. – To naprawdę ja?

-Tak. Spróbuj znowu – powiedział John i zachęcająco skinął głową.

Qwertys, już pewnie, skupił się na przedmiocie. To przecież niemożliwe – powtarzał sobie, ale jednocześnie coś mówiło mu, że przecież już prawie to zrobił, wystarczy...

Poczuł, jakby coś nagle zaskoczyło mu w głowie, w żyłach krwew pulsowała gwałtownie; słyszał to pulsowanie w uszach. W tym samym momencie szklanka uniosła się nad stół, lewitowała chwilę w powietrzu i upadła, rozlewając większość swojej zawartości na blat.

Qwertys: Historia

Kim jest Qwertys i kim byli jego rodzice?

O czym jest niewielka, napisana szyfrem książka, którą otrzymał w spadku od wuja?

I dlaczego chłopiec znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie?

Jeszcze niedawno Qwertys mieszkał w dużym, staroświeckim domu na południu Anglii, z wujem Mattem, który otaczał go ojcowską opieką. Teraz nie tylko został sam na świecie, ale grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Tylko pomoc przyjaciół i jego ogromny, niezwykły talent mogą uratować go przed Ciemnością...

www.facebook.com/QwertysSeymore

